

nad księgą
STARCÓW

Duchowość Wschodu i Zachodu

Małgorzata Borkowska OSB

nad księgą
STARCÓW

komentarz do apoftegmatów



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki: Katarzyna Bruzda
<https://www.iluminatornia.pl>

Serdeczne podziękowania dla pań: Sławomiry Gromisz, Beaty Kardasińskiej, Barbary Pawłowskiej i Bożeny Pławskiej, za przepisanie komentarzy siostry Małgorzaty Borkowskiej i pomoc przy powstaniu tej publikacji.

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 103/2022, Tyniec, dnia 4.11.2022 r.
† Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze: Kraków 2022

ISSN 1644-2288
ISBN 978-83-8205-218-3

© Copyright by s. Małgorzata Borkowska OSB
© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30–398 Kraków
tel.: + 48 534 037 299; +48 (12) 688 52 99
e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

SPIS TREŚCI

| | |
|----------------------|-----|
| Wprowadzenie | 11 |
| A (alfa) | 31 |
| Antoni Wielki | 33 |
| Arseniusz..... | 61 |
| Agaton | 95 |
| Ammonas | 109 |
| Achillas | 114 |
| Ammoe | 117 |
| Ammun | 122 |
| Anub..... | 126 |
| Abraham | 128 |
| Are..... | 130 |
| Alonios | 131 |
| Apfy..... | 133 |
| Apollos..... | 134 |
| Andrzej | 136 |
| Ajo | 136 |
| Ammonatas..... | 137 |
| B (beta) | 139 |
| Bazyli Wielki..... | 141 |
| Besarion | 142 |
| Beniamin | 152 |
| Biare | 158 |
| Γ (Gamma) | 159 |
| Grzegorz Teolog..... | 161 |
| Gelazy..... | 163 |
| Geroncjusz..... | 172 |

| | |
|------------------------------|-----|
| Δ (delta) | 173 |
| Daniel..... | 175 |
| Dioskur..... | 179 |
| Dulas | 181 |
| E (epsilon)..... | 185 |
| Epifaniusz | 187 |
| Efrem..... | 196 |
| Eucharystos, świecki..... | 197 |
| Eulogiusz, kapłan..... | 198 |
| Euprepnius | 200 |
| Ewagriusz..... | 202 |
| Z (zeta) | 207 |
| Zenon | 209 |
| Zachariasz | 214 |
| H (eta) | 221 |
| Izajasz | 223 |
| Eliasz | 231 |
| Herakliusz..... | 234 |
| Th (theta)..... | 237 |
| Teodor z Ferme..... | 239 |
| Teodor z Enaton | 250 |
| Teodor ze Sketis | 251 |
| Teodor z Eleuteropolis | 252 |
| Teofil Arcybiskup..... | 254 |
| Teodora..... | 256 |
| I (jota)..... | 263 |
| Jan Karzeł | 265 |
| Jan Cenobita..... | 281 |
| Izydor ze Sketis | 281 |
| Izydor z Peluzjum..... | 284 |
| Izaak Kapłan z Cel | 287 |

| | |
|------------------------------|-----|
| Józef z Panefo | 294 |
| Jakub | 305 |
| Hieraks | 306 |
| Jan Eunuch | 309 |
| Izydor Kapłan | 315 |
| Jan Pers | 317 |
| Jan uczeń abba Pawła | 322 |
| Izaak Tebańczyk | 324 |
| Józef Tebańczyk | 326 |
| Ischyryon Wielki..... | 327 |
| K (kappa) | 329 |
| Kasjan..... | 331 |
| Kronios..... | 337 |
| Karion..... | 342 |
| Kopris..... | 346 |
| Cyrus | 347 |
| Λ (lambda) | 349 |
| Lucjusz..... | 351 |
| Lot..... | 353 |
| Longin | 356 |
| M (mi) | 361 |
| Makary Egipcjanin..... | 363 |
| Mojżesz | 389 |
| Matoes..... | 401 |
| Marek | 408 |
| Motios | 412 |
| Megethios | 415 |
| Mios z Belos..... | 417 |
| Makary Aleksandryjczyk | 419 |
| N (ni) | 421 |
| Nil | 423 |
| Nisteroos..... | 430 |

| | |
|--------------------------|-----|
| Nisteroos cenobita | 434 |
| Netras | 435 |
| Nicetas..... | 436 |
| K (ksi) | 439 |
| Ksantias | 442 |
| O (omikron) | 445 |
| Olimpios..... | 447 |
| Orsizjos..... | 449 |
| Π (pi) | 451 |
| Pojmen | 453 |
| Pambo | 531 |
| Pistos | 538 |
| Pior..... | 540 |
| Pityrion..... | 542 |
| Pistamon..... | 543 |
| Piotr Pionita | 544 |
| Pafnucy..... | 547 |
| Paweł Cyrulik..... | 551 |
| P (ro)..... | 553 |
| Rzymianin | 555 |
| Rufus | 558 |
| Roman | 562 |
| Σ (sigma)..... | 563 |
| Sisoos Wielki..... | 565 |
| Sylwan | 581 |
| Szymon..... | 585 |
| Sarmatas | 586 |
| Serapion..... | 587 |
| Spirydion | 590 |
| Sara..... | 591 |
| Synkletyka | 594 |

| | |
|-----------------------|-----|
| T (tau) | 609 |
| Tithoes..... | 611 |
| Tymoteusz..... | 614 |
| Υ (ypsylon)..... | 617 |
| Hyperechios..... | 619 |
| Φ (phi) | 621 |
| Feliks | 623 |
| Filagrios | 623 |
| X (chi)..... | 625 |
| Chomaj..... | 627 |
| Chajremon..... | 627 |
| Ψ (psi) | 629 |
| Psenthaisjos..... | 631 |
| Ω (omega) | 633 |
| OR | 635 |
| Indeks rzeczowy | 643 |

Wprowadzenie

Zaczynamy lekturę apoftegmatów Ojców Pustyni. Czytelnik dostaje do ręki zapis konferencji wygłaszanych w klasztorze w Żarnowcu w latach 2018–2021 i następnie spisanych z nagrania, z pewnymi skrótami, wprowadzonymi dla uniknięcia zbyt licznych powtórzeń. Stąd nieco gawędziarski charakter tej książki. Jest ona mimo to częścią większego cyklu komentującego najważniejsze dzieła literatury monastycznej, które miały szczególnie wpływ tak na rozwój życia zakonnego w chrześcijaństwie, jak i na kulturę chrześcijańską w ogóle. Są to, w chronologicznym porządku powstawania: *Księga Starców*, *Reguła* św. Benedykta i księga *O naśladowaniu Chrystusa*. Jeśli dodamy *Wyznania* św. Augustyna, otrzymamy właściwie komplet najsłynniejszych w Kościele zapisów odwiecznej tęsknoty ludzkiej do Boga.

„Księga Starców” (*Gerontikon*) to najstarszy zbiór nauk wczesnych monastycznych „ojców”, pierwsza zachowana próba spisania mądrości pustyni. W czasie jej spisywania mądrość ta mogła sobie liczyć około stu lat, więc było to dwa lub trzy pokolenia doświadczeń. I już wtedy była na tym poziomie znajomości praw rządzących życiem duchowym i ludzką psychiką, na którym trwa nadal. Jakiś pustelnik, może mnich wędrowny, postanowił sobie, że zamiast chodzenia jak dotąd do ojców po słowo, lepiej będzie mieć ich nauki dostępne i powielone na piśmie, więc on je spisze. Ogromne przedsięwzięcie! Niektórych ojców w ogóle już nie mógł znać, zapisywał więc to, co o nich zapamiętali uczniowie; niektórych odwiedził sam, albo korzystał,

co jest zwłaszcza możliwe w wypadku abba Pojmena, z jakichś już porobionych pisemnych zbiorów. (Nauk abba Pojmena zachowało się wyjątkowo dużo, i dlatego uczeni przypuszczają, że może je spisano, zanim jeszcze nasz nieznany kompilator przystąpił do dzieła.)

Kompilator chciał oczywiście swój materiał uporządkować. Jeszcze mu nie przyszło do głowy uporządkować tematycznie; tym bardziej chronologicznie, bo też i nie mógł wiedzieć, który abba od którego był starszy, jeśli już obaj zmarli. Wobec tego uporządkował materiał alfabetycznie, według greckiego oczywiście alfabetu, bo pisał po grecku. Jego greka jest dosyć uproszczona: to greka późna, zwana mową wspólną – *koine*, którą się posługiwało całe Cesarstwo Rzymskie, od Hiszpanii, aż po granice Persji. I od Germanii aż po Egipt. W tej księdze ona jest czasami trochę skażona przez jakieś (może koptyjskie?) naleciałości. A już na pewno jest gramatycznie uproszczona. Czemu wspominam o języku? Alfa, beta, gamma, delta, a więc najpierw Ojcowie na A, potem Ojcowie na B, potem Ojcowie na G, bo gamma, potem Ojcowie na D, bo delta. Porządek według alfabetu greckiego. Skutek jest taki, że polski czytelnik ma dodatkową trudność ze znalezieniem któregoś z ojców, i jeżeli interesują go konkretne postacie, musi wertować spis treści. Na szczęście dla nas: ten, którego uważano za pierwszego pustelnika i ojca całego ruchu, Antoni Wielki, nazywał się na A, więc można go było umieścić na samym początku. Drugą i trzecią literą imienia kompilator już się nie przejmował, inaczej niż to jest w naszych dzisiejszych katalogach alfabetycznych. Ponieważ, jak wspomniałam, nie ma tu porządku chronologicznego, nie układa się też z tej księgi żadna historia zasiedlania pustyni.

Historia poczytności

Mowa tu będzie o przydatności Ojców pustyni do formacji monastycznej dzisiaj. Czyli, inaczej mówiąc, jak my możemy czytać i rozumieć, czytać z korzyścią, Ojców pustyni. Wszyscy wiemy oczywiście, że to z nich wyrasta całe życie monastyczne. Tylko że istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś zadowolony się tą wiedzą, a na co dzień o swoich korzeniach w ogóle nie pamięta. A święty Benedykt wyraźnie nam w regule zalecił pisma Ojców pustyni jako ważną lekturę. Otóż historycznie rzecz biorąc, przez piętnaście wieków ten nakaz był bardzo różnie traktowany. Kolejne epoki albo zapominały o tej literaturze zupełnie, albo ją odkrywały na nowo. Jeszcze naszym poprzedniczkom w wiekach XVII i XVIII Ojcowie byli bardzo dobrze znani. To była jedna z ich ulubionych lektur. Po czym to poznajemy? Ano po tym, że istnieje wielkie tomisko przekładów tekstów Ojców; tłumaczem (z łaciny) był ks. Sebastian Piskorski, i gdziekolwiek są jakieś choćby resztki biblioteki benedyktynek, tam na ogół ten tom znajduje się, i to w kilku egzemplarzach – ale ani jeden z nich nie ma strony tytułowej ani zakończenia. Ma zwykle nowszą oprawę, więc widać, że się tak zużył w czytaniu, że już przód i tył odpadły, a to, co jeszcze zostało, wsadzono w nową okładkę. Strzępy zaczytane, po prostu. Natomiast w wieku XIX poszło to zupełnie w zapomnienie. Jeszcze w połowie wieku XX Ojcowie byli w Polsce praktycznie nieznani. Pamiętam czasy, w których zostali ponownie odkryci. I mogę tu nawet wystąpić jako świadek, bo pamiętam to odkrycie, czas i szczegóły, i pamiętam entuzjazm. Na samym początku to były fragmenty, i to niejako z trzeciej ręki. Merton, już jako mnich, znalazł gdzieś, prawdopodobnie w serii *Patrologia Latina*, łaciński, starożytny przekład *Księgi Starców*; i nawet nie obejrzał się za oryginałem

greckim, tylko fragmenty przełożył z tej łaciny na angielski. Powstała mała antologia. Ta antologia trafiła do nas. I wobec tego przełożyłam ją, jeszcze jako postulanka, dla Matki Ksieni w prezencie gwiazdkowym zimą roku 1964. Z angielskiego na polski. Popatrzcie, jaką to może mieć naukową wartość: z greki na łacinę jeszcze w starożytności, z łaciny na angielski, z angielskiego dopiero na polski? Czwarty kolejny język. Tak się nie robi, takich rzeczy po prostu się nie wydaje. Tłumaczyć do wydania trzeba z oryginału. A u nas o żadnym oryginale w ogóle i słyhać nie było; więc też ten przekład „wyszedł” w trzech egzemplarzach maszynopisu z rysunkami. Gdzieś jeszcze musi być w bibliotece. Ale to było odkrycie. A kilka lat później, dzięki całej serii różnych przypadków, jak wakacyjne spotkanie w naszym skarbcu i tak dalej, trafił do moich rąk oryginał grecki i zamówienie na przekład całości księgi. I tak sobie myślę, że św. Benedykt w niebie musiał się uśmiechnąć. To był powrót jego córek do tego duchowego domu, w którym on sam się wychował.

Otóż, jak wiadomo, człowiek (przynajmniej od kilku stuleci) zakłada bezwiednie, odruchowo, że cokolwiek jest nowe, jest tym samym lepsze od starego. To jest może słuszne w sprawie programów komputerowych, choć też nie zawsze. Ale z całą pewnością nie jest słuszne w sprawie prawd objawionych, w sprawie dogmatów. Prawdy objawione nie ulegają przedawnieniu, a przecież to one właśnie są najważniejsze: prawdy o Bogu i o miejscu człowieka w obliczu Boga, i o jego drodze do Boga. A naszą właśnie rolą w Kościele, rolą mniszek, jest przypominać te prawdy. Dlatego, a przynajmniej także dlatego, sięganie do korzeni naszej tożsamości jest dla nas w życiu monastycznym ważniejsze niż dla kogokolwiek innego. A trzeba powiedzieć, że w ostatnim ćwierćwieczu to już żuk i żaba czytają Ojców pustyni, w setkach egzemplarzy z różnych wydawnictw. Świeccy

czytają masowo. I bardzo dobrze. Ale tym bardziej nie powinniśmy być w tyle.

Oczywiście istnieje pewna powierzchowna trudność, zupełnie powierzchowna, ale jednak trudność: Ojcowie, to było tak dawno, inny świat, inne realia życia. Kiedyś mówiłam o nich do grupy sióstr ze zgromadzeń czynnych. Miały na początku dość niewyraźne miny. Bo to takie stare, takie dawne, wszystko inaczej, co nam do tego? Dzisiaj pustyni widzi się tyle, co piasku dla kota; nie ma żadnej ciszy, żadnego odludzia, żadnej samotności, tylko cały czas jest się wplątanych w społeczeństwo, w jego zależności. Choćby zależność od ciepłowni, od środków komunikacji, od godzin urzędowania ZUS-u... Porównywały też sposób życia: tam niemal całodobowa modlitwa z częstką uwagi zwróconą na prostą pracę ręczną. Tu całodobowa niemal posługa angażująca uwagę totalnie, z częstką tylko czasu odciążoną na modlitwę. Tam wyczynowa asceza – tu dbałość o zdrowie wedle wymagań nowoczesnej medycyny. I tak dalej. Ale pomimo tych wszystkich zewnętrznych różnic, Ojcowie pustyni są naprawdę naszymi ojcami i mistrzami, i nie da się ich odesłać do muzeum dziwolągów przeszłości. Trzeba ich studiować i rozważać, o ile oczywiście chcemy... cóż, to jedno: o ile chcemy zrozumieć nasz własny wybór i nasze własne życie. Bo oni zrozumieli to przed nami i skodyfikowali to przed nami. Zajrzeli przed nami w mechanizm działania duszy ludzkiej i wyciągnęli wnioski, które i nas obejmują, dokładnie tak samo, jak ich.

Znamy to dobrze z doświadczenia: kiedy człowiek jest młody i pierwszy raz przeżywa jakiś problem, i pierwszy raz go rozwiąże, to mu się wydaje, że nikt jeszcze nie przeżył tego problemu i nikt go jeszcze nie rozwiązał, i on teraz musi całemu światu objawić, o co tu chodzi i jak się to robi. Otóż nie istnieje taki problem, nawet w naszej skomputeryzowanej i stech-

nicyzowanej rzeczywistości, nie istnieje taki problem *dotyczący życia modlitwy*, którego by Ojcowie nie tylko nie spotkali i nie znali, ale i nie rozwiązyali, te półtora tysiąca lat temu. My teraz płyniemy w bardzo bezpiecznym i spokojnym nurcie tradycji idącej od nich; tyle że o tym często nie wiemy. To wszystko są już wytyczone szlaki, oni to już przed nami wiedzieli. Mogli to nazywać trochę inaczej niż dzisiejsza psychologia, ale wiedzieli doskonale. I bardzo bezkompromisowy wybór był dla nich jedyną właściwą drogą. To nas wprowadza w istotę naszego życia monastycznego; i nie tylko dlatego, że od nich się ono zaczęło, ale głównie dlatego, że są mistrzami tego bezkompromisowego wyboru Boga.

Wyrażali ten wybór wewnątrz swojego świata, swoim językiem, jasnymi dla siebie czynami i znakami. Nasz świat może być inny, realia codzienne inne, znaki i język mogą być inne. Ale wybór Boga musi być jasny i pełny. Tak samo dla nas, jak był dla nich. Inaczej w ogóle nie było po co tu przychodzić. Poza tym ich sposób życia zawierał od początku wszystkie nasze dzisiejsze drogi. Myśmy przywykli do ostrych podziałów, wprowadzonych przez prawo kanoniczne: życie może być albo kontemplacyjne, albo czynne. (Tu i tam mówi się o życiu „mieszanym”; nikt jeszcze nie wyjaśnił, co to konkretnie znaczy w naszych czasach.) Ojcowie pustyni takich podziałów nie znali i nigdy się nie zastanawiali, po której stronie podziałki czyjaś indywidualna droga leży. Dla nich mnichem był tak samo ktoś, kto mieszkał o dwa dni drogi od centrum osady i widywał swoich współbraci tylko w wielkie święta, a świeckich nie widywał nigdy (dopóki się ciekawscy nie zaczęli błąkać po pustyni) – jak i ten, kto mieszkał tuż przy drodze i pomagał podróżnym taszczyć tobołki na jakimś jej odcinku. Przetaszczył parę mil, przekazywał następnemu, a sam taszczył znów czyjeś inne w drugą stronę. Byli

tacy mnisi, oni w ten sposób pomagali podróżnym. Po prostu obrali sobie taką „regułę”. Trzeba pamiętać, że na początku „regułą” nazywano nie ten długi tekst ustalający sposób życia całej wspólnoty, jak dzisiaj, ale indywidualny program życia i służby. Ktoś na przykład mógł mieć taką regułę, że godził poważniejszych; więc niewątpliwie nasłuchiwał się przy tym zajęciu dużo krzyków i wyzwisk. Niekoniecznie do siebie, ale i do siebie przy okazji. Albo ktoś wybrał sobie opiekować się chorymi. A słyszymy o dwóch braciach, którzy byli cyrulikami i strzygli innych mnichów, a mieli z tym tyle roboty, że modlić się mogli tylko nocą, bo tylu przychodziło zarośniętych do przystrzyżenia. Więc pomyślmy: przecież nawet najściślejsza klauzura, taka, jakiej myśmy tu i na oczy nie widziały, z zasłoną na kracie – nawet taka klauzura jest pełna sióstr potrzebujących wzajemnej pomocy. Nieraz chorych i starych. I właśnie jedne zakonnice drugim mają służyć. Więc czym się różni w zasadzie postuga infirmerki w klauzurze od postugi pielęgniarki w szpitalu? Niewiele. Czym się różni postuga szafarki, nawet w klasztorze, od postugi *businesswoman* (chrześcijańskiej oczywiście)? Jedna i druga ma do czynienia ze wszelkimi rozliczeniami i problemami gospodarczymi. I z ludźmi z zewnątrz.

A skoro mowa o ludziach z zewnątrz, to Ojcowie znali, oczywiście, pokusę wyobrażania sobie, że dzięki swojej drodze życia stoją (w stosunku do nich) bliżej Boga – ale im tę pokusę Opatrzność często demaskowała jako błąd. Bo dążenie do Boga ma największe szanse powodzenia w tym stanie, do którego Bóg powołał każdego z nas. Przecież każda z nas ma jakąś swoją historię przed wstąpieniem. Tamte lata nas ukształtowały, dały nam pewien zasób cech, wiadomości, umiejętności; i z tymi wiadomościami i umiejętnościami przychodzimy tutaj. Człowiek niejako niesie na sobie wskazówkę co do swojej konkretnej dro-

gi wewnątrz życia monastycznego. I nie ma sensu żądać, żeby wszystko tutaj było inaczej niż w świecie.

Najważniejsze problemy

Teraz trzeba wyliczyć konkretne problemy, które Ojcowie rozstrzygnęli jako te najważniejsze. Pierwszym z nich są **warunki dobrej modlitwy**. Bo przecież człowiek po to przychodził na pustynię i dziś po to przychodzi do klasztoru, żeby się tam łatwiej niż w świecie i więcej niż w świecie modlić. Biedne jest to nasze polskie słowo „modlić się”! Bo *się modlić* to tak jak *się myć, się ubierać...* czasownik zwrotny. To ja w tym jestem: ja działam i ja korzystam. Ale modlitwa nie jest jednostronnym działaniem, działaniem zwróconym ku sobie. Modlitwa jest relacją Ty-ja, i tego nasze słowo akurat nie wyraża. W każdym razie pustelnikiem zostawał człowiek, który chciał przez to faktycznie i nieodwołalnie wyrazić swój wybór Boga. Ktoś mógłby tu chcieć dopowiedzieć: wybór Boga jako najwyższej wartości. Nie bójmy się użyć lepszego słowa, wybór Boga jako swojej najwyższej miłości. *Wartość* jest pojęciem bezosobowym. Kiedy wciąż słyszę na przykład ludzi zachęcających w mowie i w piśmie do wartości chrześcijańskich, to mi się słabo robi. Nie obchodzą mnie wartości, nie obchodzi mnie, przepraszam, nawet chrześcijaństwo: obchodzi mnie Chrystus. To jest Ktoś, a nie coś. Miłość możliwa jest tylko między osobami. To niby jest drobna różnica w słowach; ale nasze słowa kształtują naszą postawę i kształtują nasz sposób myślenia. I nie ma głupszej rzeczy, niż kobieta myśląca w kategoriach bezosobowych. Bo nie do tego została stworzona.

Gdzie jest miłość, musi być spotkanie, kontakt. Powstaje tu oczywiście problem: kontakt z Niewidzialnym, gdy my jesteśmy

cieleśni? kontakt ze Świętym, kiedy my jesteśmy grzeszni? Czy jest w ogóle możliwy? A jeśli tak, to czy ta świętość człowieka nie unicestwi? Akurat dzisiaj czytaliśmy właśnie, że żaden człowiek nie może zobaczyć Boga i pozostać przy życiu. A u Jeremiasza (30,21): *kto śmiałby zbliżyć się do Mnie niepowołany?* Na to odpowiedź jest z jednej strony, że szczęśliwy, kto za ten kontakt da życie; a z drugiej, że byłoby to rzeczywiście niemożliwe bez powołania, to znaczy bez inicjatywy ze strony samego Boga, ale Bóg z taką inicjatywą do nas wyszedł i pozwala się nam poznawać. Na razie jeszcze *niejasno, jakby w odbiciu lustrzanym* (1 Kor 13,12), ale obiecane mamy także pełne poznanie. I na tym się właśnie opiera możliwość modlitwy.

Otóż w praktyce, nie w pierwszym roku zapału nowicjackiego, nie, ale w drugim już zdarza się tu problem; i to jest typowy próg. Okazuje się bowiem, że ten modlitewny kontakt, którego tak pragniemy, wcale nie jest łatwy. Albo może my go nie aż tak bardzo pragniemy, jak nam się wydaje? Pokusy na drodze modlitwy są liczne. Po pierwsze, nasza własna słabość i niepełna wola. Już apostołom wydawało się, że wierzą przecież, i to z całego serca, a Pan Jezus mówi im, *gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczyczne* (Łk, 6). Gdyby mówił po polsku, to by pewnie powiedział: jak ziarnko maku: przysłowiowa oznaka małości. Otóż ważne jest to *gdybyście*. Bo wbrew temu, co im się wydawało, nawet takiej malutkiej wiary nie mieli. Lewis wkłada w usta starego diabła uwagę, że ludzie o wiele mniej pragną zbliżenia się do Boga, niż im się wydaje; i często ku swemu przerażeniu otrzymują więcej, niż zamawiali. A św. Teresa Wielka mówi, że aby zacząć drogę ku Bogu wystarczy – i tu jest takie śliczne zdrobnienie hiszpańskie, po polsku niemożliwe do oddania, *una determinacioncilla*, jakby maciupieńkie zdecydowanie, odrobina zdecydowania. Tylko, że jakże nam trudno czasem nawet o tę

odrobinę. Człowiek wiecznie się boi, że Bóg mu zburzy porządek, który on sam sobie ustalił i do którego już przywykł i zagnieździł się w nim. I słusznie: bo nieraz rzeczywiście Bóg burzy, w tym jest bardzo wprawny. Sam człowiek czuje, że sobie uwił miłe gniazdko z własnych cnót, a tu Bóg wzywa go do dalszej drogi prosto w ogień. I niejeden woli dreptać w miejscu przez całe życie, niż narazić się na ten płomień. A błogosławiony, jeżeli przynajmniej odkryje w sobie tę niechęć i razem z całą resztą swojej słabości ofiaruje ją Bogu.

Po drugie, przeszkodą są **błędne teorie**, oparte najczęściej na jednostronnej, a dla naszej spaczonyj natury wygodnej, interpretacji słów Pisma Świętego. Byli w czasach Ojców na przykład tacy mnisi, którzy mówili: *My ręcznej pracy nie tykamy, ale według słów Apostoła modlimy się nieustannie*. Najwyraźniej woleli nie pamiętać, że ten sam Apostoł chciał, żeby wszyscy chrześcijanie pracowali na swoje utrzymanie (2 Tes 3,12)... Tacy mnisi stawali się pasożytami, a jednocześnie ich modlitwa traciła wartość szczerzego szukania Boga: stawała się po prostu źródłem utrzymania. Po trzecie, przeszkodą na naszej drodze jest żądanie za wiele od razu, czyli **pseudomistyka**. Oczywiście człowiek, który już wie coś niecoś o swojej słabości, nie będzie marzył o wizjach i czynieniu cudów. Ale ten, który jeszcze nie wie, owszem marzy. A nieraz nawet próbuje sobie i innym wmówić, że jakieś cudowne właściwości już posiadał. To tak jak ten arcykapłan egipski u Prusa w *Faraonie*, o którym uczniowie (kler zależny, że tak powiem) rozgłaszali, że kiedy się modli, to się unosi o dwa cale nad ziemią; o dwa cale, to zawsze już coś! Poza pychę, jest to także pogoń za przeżyciami. Przekonanie, że Boga trzeba przeżyć, że to się człowiekowi należy. I że przeżycie jest istotą życia duchownego. Jest to błąd równie szkodliwy, co rozpowszechniony. Pamiętam księdza, który się chwalił, że jego za-

daniem jako duszpasterza jest dostarczanie wiernym religijnych przeżyć. Inaczej mówiąc traktował Boga bezosobowo. Jako coś w rodzaju kranu, z którego mogą płynąć miłe przeżycia, a człowiek odkręca i zakręca wedle woli, byle się nauczył jak to się robi. Ale wartości modlitwy nie mierzy się przeżyciem. Ludzie, którzy o tym nie słyszeli, albo nie chcą słuchać, wyrabiają się na łowców świętych przeżyć, duchowych uniesień. Cała bieda w tym, że im o takie uniesienia coraz trudniej, a to z tej prostej przyczyny, że zdolność do odczuwania uniesień maleje, i to tym szybciej, im ich było więcej. Otóż, nie to jest ważne cośmy odczuli i przeżyli, ale ile okazaliśmy wierności Bogu, który wszedł w nasze życie. Inaczej będzie to tylko kręcenie się dookoła siebie samego... a Bóg zapomniany stoi w kącie. Boga nie trzeba przeżyć, trzeba Go uwielbić. Ryzyko dostrzeżenia Go tam w kącie trzeba podjąć nie dla swojej przyjemności, ani dla swojej doskonałości; przyjemność bywa latami nieobecna, a doskonałość tak czy siak pozostaje wielce łaciata. Trzeba je podjąć po prostu z wdzięczności za to, że On sam pierwszy nas umiłował, że on wszedł w nasze życie i w naszą codzienność. Uznać to, dziękować Mu – to modlitwa bardziej autentyczna niż wszelkie metody i techniki.

Kiedy się dąży do kontaktu osobowego ja-Ty, owo Ty staje się tak ważne, że przestajemy się oglądać na potrzeby i przeżycia swojego ja. Tak samo, jak kiedy się ma do czynienia na przykład z kimś chorym, nad którym sprawuje się opiekę. A nie może być głębszej modlitwy tam, gdzie człowiek chce przeżywać religijne wzruszenie i do tego przede wszystkim dąży. Taki człowiek mierzy wartość modlitwy czułością osiągniętych na niej uczuć i kręci się nadal wokół siebie jak pies goniący własny ogon. Ów ksiądz robił niestety wszystko, by trzymać wiernych na płyciźnie. Tymczasem prawdziwy kontakt, prawdziwa modlitwa, musi

prędzej czy później zacząć obywać się bez uczuciowych przeżyć. Przeżyć można coś, doznać można czegoś, ale Bóg jest Kimś, nie czymś; i po pierwsze sam decyduje, On decyduje, o stopniu kontaktu z nami. Stąd, choćby sobie człowiek wmawiał nie wiadomo jakie święte przeżycia, to jest tylko samoułuda, dopóki Bóg nie wyciągnie palca i nie dotknie. A nie ma najmniejszego obowiązku robić to na nasze wezwanie, a zwłaszcza dla zadowolenia naszej pychy. Nie jest naszym celem, jak mówię, przeżyć Go, tylko uwielbić. Pogoń za przeżyciami jest jedną więcej pokusą i Ojcowie znali tę pokusę dobrze.

Niejeden zresztą rzeczywiście jej uległ. Aż do prób cudotwórstwa. Był taki, który rzucił się do studni twierdząc, że aniołowie zapewnią mu miękkie lądowanie. Obowiązek mają, prawda, wynikający z psalmów? Wyciągnięto go stamtąd połamanego i z tych potłuczeń umarł wkrótce, ale co najdziwniejsze, jak notuje autor zbioru, to że nie zmienił zdania i nadal twierdził, że ma aniołów do posługi. Można sobie wmówić nawet coś takiego. Tę historyjkę zanotowano oczywiście bezimiennie, jak zwykle w wypadkach, kiedy rzecz była mało budująca. Otóż z tej racji wielcy Ojcowie i nauczyciele, nawet jeśli rzeczywiście otrzymali od Boga dar czynienia cudów, starali się z niego nie korzystać, a nawet modlili się o jego cofnięcie; wiedząc, że bez cudotwórstwa, bez widzeń, bez ekstaz można się zbawić, ale z pychą w sercu to już trudniej. Opowiadano o pewnym starcu, że diabeł pokazał mu się w postaci Chrystusa. Świetliście. Jeszcze się nawet przedstawił, że jest Chrystusem, a starzec zamknął oczy. Diabeł pyta: *Dlaczego oczy zamykasz? Przecież jestem Chrystus? A starzec na to: Ja nie chcę Chrystusa oglądać na ziemi, a dopiero w niebie.* No i diabeł zniknął, co miał robić? Starzec rozpoznał więc pokusę, która usiłuje wykorzystać przez spaczenie, przez pychę i przez jakieś ciepłko uczuciowe, to, co

w człowieku jest najwznioślejsze: tęsknotę do Boga. Pokusą tych, których Ojcowie określali jako doskonałych, czyli już wyćwiczo-nych w życiu monastycznym, jest właśnie zachwyty nad własną doskonałością i przekonanie, że ona zasługuje na nagrodę, i to już tutaj. A to właśnie jest ten najgłębszy upadek.

Oczywiście przekonanie o własnych cnotach może się zjawiać i na początku drogi. Tylko, że tam zwykle nasi bliźni szybko nam je korygują. Na szczęście. Tak pouczył pewnego brata jego mistrz duchowy w ślicznej opowieści: *Brat zapytał starca: Co mam robić, bo szarpie mnie pokusa próżnej chwały?* (Czyli że ma się już czym chwalić, prawda?) *A starzec na to: I słusznie, bo przecież to ty stworzyłeś niebo i ziemię!* *Brat słysząc to doznał skruchy, padł mu do nóg i zawołał: Wybacz mi, przecież nic takiego nie zrobiłem!* *Starzec odrzekł: Jeżeli Ten, który je stworzył, przyszedł do nas w pokorze, to ty, który jesteś tylko błotem – z czego się pysznisz? Gdzie twoje dzieła, nieszczęśniku?!* Nie twoje pojęcia o sobie, ale twoje dzieła są ważne.

Istnieje jeszcze jeden istotny warunek: **zgodność modlitwy z życiem**. Mówił abba Mojżesz: *Jeśli postępowanie nie zgadza się z modlitwą, na próżno trzodzi się taki człowiek*. Abba Nilus wyjaśnia to, jak zobaczymy, w serii krótkich zasad i uczy, że do modlitwy przygotowuje życie, a w nim przede wszystkim cierpliwość, przebaczenie, wolność od przywiązań i poddanie się woli Bożej.

Modlitwa Ojców pustyni

Jak konkretnie wyglądała modlitwa Ojców Pustyni? Była oczywiście zróżnicowana. Trochę zależało od indywidualnych zdolności. Czytamy o takim nowicjuszu, którego nauczono psalmu pierwszego; był oczywiście analfabetą jak bardzo wielu, więc

uczył się wszystkiego na pamięć i kiedy się tego pierwszego psalmu nauczył, to powiedział: *Dosyć! To mi na razie wystarczy*. Po czym odmawiał ten psalm przez cały rok, zastanawiając się nad jego treścią, a po roku przyszedł po następny. Nie wiadomo, ile ich zdążył poznać przez całe życie. Normalnie jednak uczono się na pamięć całego psalterza, odmawiając część w stałych godzinach modlitwy, a resztę przy pracy. Z tego odmawiania wersetów psalmów przy pracy urosła modlitwa jednego wersetu, jednego wezwania, dzisiaj zwana modlitwą imienia Jezusa. Była także modlitwa spontaniczna, wewnętrzna, a jej treści oczywiście nie znamy; musiała być oczywiście inna u każdego, w miarę pojęć i potrzeb. Wiadomo, że na przykład Arseniusz w sobotę wieczorem stawał do modlitwy zwrócony twarzą do wschodu. Słońce zachodziło mu za plecami, więc widział swój cień na ziemi i stał tam tak długo, aż mu słońce zaświeciło w twarz; czyli dokładnie przez całą noc. Ale Arseniusz mawiał, że pół życia zmarnował w świecie, więc teraz drugą połowę musi to Bogu wynagrodzić. Tak, jak on się obywatel bez snu, to mało kto by potrafił.

Ważne: oprócz kilku zaledwie wzmianek (właśnie wzmianek, a nie relacji) nie wiemy nic o modlitwie mistycznej Ojców. Nie wszystkich na pewno ten dar objął, a ci, których objął, starannie go ukrywali. Poza tym dla nich celem czy ideałem nie było osiągnięcie niezwykłych wzlotów ducha, tylko objęcie kontaktem z Bogiem – modlitwą właśnie – całego życia. Tylko tyle i aż tyle.

Asceza

I jeszcze jedna rzecz ważna. Ojcowie bardzo wyraźnie różnią ascezę prawdziwą od pozornej. Chodzi mi tu o ascezę fizyczną. Ojcowie kładli na nią wielki nacisk i miała kilka funkcji. Pierwsza funkcja ascezy jest **kultowa**. To jest najważniejsze.

Już w Starym Testamencie post był sposobem zmanifestowania swojej świadomości, że się zależy od Boga i że się nie polega na własnych siłach i własnej sprawiedliwości. Jeżeli zamiast zjeść ubitego barana spalano jego mięso w ofierze całopalnej, to nie było to oczywiście karmienie Boga – *Gdybym był głodny, nie mówiłbym Ci o tym* (Ps 50,20) – ale zaznaczenie, że człowiek woli nie dojeść niż zapomnieć o czci należnej Panu. Tę samą funkcję ma podejmowanie wszelkich trudności, niedospania, niewygody. Chodzi o uczczenie Pana przez jakąś ofiarę, jakieś wyrzeczenie możliwie realne, więc to jest funkcja kultowa ascezy. Druga funkcja jest **etyczna**. Człowiek ćwiczy się w wyrzeczeniu po to, żeby opanować swoje instynkty, opanować odruchy, pragnienia. Przecież nikt nie myśli, że można się nauczyć na przykład szyć, albo choćby tylko smażyć jajka, z samej tylko teorii, bez praktyki! I tak samo nonsensem jest myśleć, że bez przećwiczenia się w wyrzeczeniu, w panowaniu nad sobą, w opanowywaniu swoich chęci i reakcji, moglibyśmy w chwili, kiedy nadejdzie jakaś wielka i ważna konieczność, zrobić to bez problemu: podjąć właściwą decyzję i odrzec się czegoś wygodnego i przyjemnego, żeby ratować coś lub kogoś ważnego. Tego się bez jakiejś wprawy nie robi; mielibyśmy w takim wypadku przeciw sobie wszystkie nasze dotychczasowe przyzwyczajenia, i to one zwyciężą, a nie nasza słaba, niećwiczona wola. Trening woli nie musi koniecznie boleć, ale musi kosztować wysiłek i musi uczyć wytrwałości. O pewnym starcu opowiadano, że kiedyś przyszła mu wielka ochota zjeść słodką figę. Więc wziął figę, zawiesił sobie przed oczami i nie ulegając temu pragnieniu, umartwiał je, czyli wyciszał.

I wreszcie jest trzecia funkcja: to jest funkcja **pokutna**: człowiek świadomy swoich win dobrowolnie bierze na siebie trudności, niewygody, ból, aby ponieść karę, która mu się należy. Otóż

wszystkie te trzy motywacje, to jest kultową, etyczną i pokutną, widzimy od początku w życiu monastycznym, ale w rozmaitych konfiguracjach. Zależnie od okoliczności. Najlepiej to streszcza lapidarne stwierdzenie abba Jana Karła: *Mnich to trud. Bo mnich zadaje sobie trud we wszystkim co czyni.* Już samo przyście na pustynię było wyborem życia fizycznie trudnego. I to się przede wszystkim widziało, patrząc na taki wybór z zewnątrz; czyli albo wówczas, z tak zwanego świata, albo dzisiaj, z perspektywy historii. Kamienisto, gorąco, ale w nocy bardzo zimno. Ziemia nie do uprawy. Do wody całe mile, a i to niesmaczna albo niezdrowa. W dodatku mnisi nie usiłowali tych okolic zasiedlić i uprawić, jak nieraz wygnańcy zasiedlają nieużytki i po dłuższym czasie doprowadzają je do stanu uprawności. Mnisi przychodzili na pustynię właśnie po to, żeby żyć w złych warunkach, a nie żeby je zmienić na lepsze. Ostatecznie można by jeszcze to wytłumaczyć: szukają odosobnienia, bo szukają niezmaconej modlitwy, więc oczywiście starają się, żeby to odosobnienie było trwałe. A dopóki pustynia pozostaje pustynią, będą tu do nich może przychodzić pielgrzymi, żeby się z nimi pomodlić, i ciekawscy, żeby się na nich pogapić; ale jak przyjdą, tak odejdą, a żadne ludne i gwarne miasto wokół chatki pustelniczych nie wyrośnie. Co jednak trudniejsze do wytłumaczenia, to fakt, że jeszcze i wewnątrz tak trudnych warunków życia pustelnicy szukają dalszych utrudnień. Jedzą i śpią mniej niż by mogli. Pracują im dłużej, tym lepiej. Nieraz jeszcze wymyślają sobie jakieś dodatkowe utrudnienia, chociaż to raczej nie w Egipcie: egipcscy pustelnicy mieli bardzo dużo rozsądku. Natomiast w Syrii wyobraźnia poszła dalekimi torami. Oni tam na przykład nosili ciężkie łańcuchy, przykuwali się do skał i tak dalej...

Otóż to poszukiwanie możliwości złożenia z siebie ofiary miało takie cele, jak już wymieniliśmy: kultowe, etyczne i pokut-

ne. Ale niestety w praktyce zdarzał się jeszcze cel czwarty: chęć osiągnięcia czegoś niezwykłego. Chęć wyczynowej, popisowej ascezy. I to się mogło źle skończyć, bo prowadziło do pychy, jeśli ktoś z takich wyczynów zasłynął. Problem był tym bardziej aktualny, że ogromna większość pustelników egipskich to byli ludzie dobrej woli, szczerzej pobożności, ale zupełnie nie wyćwiczeni w sztuce myślenia; toteż łatwo im było żyć tym, co na zewnątrz widoczne, a na zewnątrz było właśnie widać przede wszystkim ascezę. Można było liczyć, ile placków ktoś zjadł, prawda? A ile ich jeszcze zostało? Abba Pojmen powiedział: *Wielu z naszych Ojców odznaczyło się męzną ascezą, ale subtelnością myśli osiąganą przez modlitwę, mało który.* A właśnie bez tej subtelności myśli, bez umiejętności rozróżniania własnych intencji, najmężniejsza nawet asceza mogła zejść na manowce. I dlatego takie ważne było znaleźć sobie mistrza, który by ją posiadał. I byli tacy; i to oni wypracowali ogólne wskazówki dotyczące ascezy.

My w tej chwili, powtarzam, płyniemy w niesłychanie bezpiecznym nurcie. Mogą się zdarzać oczywiście jakieś pomyłone interpretacje; ale to, co wypracowały już pierwsze pokolenia pustelników, jest tak jasne i tak jednoznaczne, jeśli chodzi o drogę postępowania, że naprawdę nic więcej już nie potrzeba. Zasada była dla wszystkich prosta i łączyła ascezę zewnętrzną z wewnętrzną, w proporcjach indywidualnych i ze świadomością, że najważniejsza jest intencja.

Antoni mówił wyraźnie, jak niebezpieczne jest zaufać tylko zewnętrznym praktykom. Powiedział, że *są ludzie, którzy wyniszczyli ascezą swoje ciało, ale ponieważ zabrakło im roztropności, to się tylko oddalili od Boga.* Mamy w literaturze pustyni kilka opowieści o dość dramatycznych wstrząsach, których ludziom ceniącym właśnie tylko zewnętrzną ascezę dostarczali ci o szerszym spojrzeniu; ci, którzy wiedzieli, że cudzych zasług nie mamy jak

podliczać. Nie mamy miary, nie mamy podziałki. Skąd można wiedzieć, czy to, co jest dla jakiegoś człowieka trudne, jest trudne także dla drugiego? On może być sąsiadem, może mieszkać obok, nawet mogą mieszkać dwaj w jednej celi, a dla każdego z nich problem i trudność jest inna. Łatwość jest także inna. Tego się nie da wymierzyć. Odkrycie indywidualnej miary nie jest rzeczą łatwą, a w dodatku ta miara może się zmieniać w ciągu jednego życia. Najpierw rosnąć w miarę nabierania wprawy, potem maleć w miarę starzenia się człowieka. Dosyteusz, uczeń św. Doroteusza, któremu jego mistrz (wówczas początkujący) nie zdołał znaleźć właściwej miary postu, dopościł się do gruźlicy, na którą też i umarł. Ale i w naszych czasach takie przypadki się zdarzają; tyle, że gruźlica bywa uleczalna. Znam też współczesny przypadek osoby, która przez długie lata postu tak sobie rozregulowała system trawienny, że on już nie działa. I teraz lekarze muszą radzić nad tym, żeby ją jakoś przy życiu trzymać. Co zresztą jest też nie nowość, bo Makary Aleksandryczyk, sam wielki postnik, urządził w ten sam sposób swojego ucznia: nikogo innego, tylko wielkiego Ewagriusza. Problem więc był, i jest; i w każdym razie wiadomo, że rozwiązań potrzeba indywidualnych. Dlatego św. Benedykt tak ostrożnie traktuje miarę pokarmu i zostawia pole do uchylania tej normy w razie potrzeby. Na pustyni te miary były bardzo różne. Byli tacy, którzy jadali tylko co kilka dni, ale do sytości; albo właśnie nawet i wtedy nie do sytości. Walka o opanowanie swojego żołądka była wtedy nieustanna, ale nie było się czym przechwalać, bo to każdy potrafił. Zresztą niejeden od dzieciństwa żył w takich warunkach, że się w życiu nigdy nie najadł. Czytałam niedawno śliczną historyjkę: w naszych już czasach, w Afryce, biały ksiądz potrzebował koniecznie znaleźć paru ludzi do pilnej roboty, bo mu się betoniarka kręciła. Gotów był dobrze zapłacić, niemalże złote góry obiecywał,

chodząc po rynku, gdzie leżała cała masa czarnoskórych i spali, bo było koło południa. Nic. Żaden nie chciał się najać, za żadne pieniądze. W końcu któryś mu odpowiedział: „Odwal się pan, ja już dzisiaj jadłem!”. Taka miara, raz zjeść dziennie, była dla tego człowieka zupełnie wystarczająca. A tylko głupi albo biały chciałby się męczyć w najgorętszej porze dnia! Nasza europejska miara z racji tak wymagań klimatu, jak i o wiele większego już od pokoleń dobrobytu, jest inna; ale warto pamiętać o względności tych miar.

Najważniejszym aspektem całej tej sprawy, ascezy, trudu zadawanego sobie, jest intencja. Jeżeli człowiek traktuje ascezę jako trening, to już nie robi z niej celu życiowego, tylko środek do celu, bo ona właśnie jest środkiem. Czasem bardziej potrzebnym, czasem mniej, Bóg nam to przez naszych mistrzów duchowych i przez przełożonych ustali. A zawsze dobrze jest pamiętać o prymacie przykazania miłości. Jest taki śliczny apoftegmat. Brat pytał starca: *Jeżeli są dwaj bracia i jeden z nich milczy przez sześć dni w tygodniu i zadaje sobie wiele trudu (znaczy ascezy właśnie), drugi zaś postuguje chorym: którego z nich dzieło Bóg milej widzi? Odrzekł mu starzec: Choćby ten, który milczy aż do sześciu dni, powiesił się za nos – nie zdoła dorównać temu, który postuguje chorym.* Ojcowie mieli świadomość, że także asceza powinna płynąć z miłości i powinna być dostosowana do tego kształtu miłości, który nasze indywidualne powołanie kazało nam pełnić.

Obraz pustynnej społeczności

Księga Starców daje nam bardzo ciekawy obraz społeczności pustelników, i to tak jej osiągnięć, jak i niedociągnięć. Jest w tym bardzo a bardzo ludzka, i prawdziwa czasem aż do bólu. Mamy tu z jednej strony ogromną tęsknotę do Boga i pragnienie

ofiarowania Mu całego życia; usilną współpracę z Łaską; osiągniętą w tej współpracy zadziwiająco znajomość mechanizmów ludzkiej psychiki oraz wiele wspaniałych postaci, których życie i nauka do dzisiaj dają ogromnie dużo wszystkim wierzącym, od świeckich do mnichów. I mamy z drugiej strony wszelkie możliwe spaczenia tych dobrych dążeń: przez ciasnotę jednych umysłów, agresywność innych, u jeszcze innych uleganie zwykłemu łakomstwu – i wiecznie obecne niebezpieczeństwo przekroczeń seksualnych. Spotykamy tu takich świętych, jak Antoni, Jan Karzeł czy Pojmen, promieniejących dobrocią i pokornych – ale spotykamy także mnichów bojówkarzy i mnichów pyszałków, żądnych wywyższenia i zazdrosnych o swoją sławę. Otóż najważniejsza chyba prawda o człowieku, którą ilustruje ta księga, jest ta: że walka z tymi wszystkimi złymi skłonnościami jest możliwa, a nawet możliwe jest Boże zwycięstwo w nas. Współpracy z takim zwycięstwem oddawali się pustelnicy niejako zawodowo, chociaż każdy na swoją miarę, ze swoimi trudnościami – i z różnym skutkiem. Więc to jest właściwie księga walki i księga pociechy; i dobrze, że ją spisano.

Oddając teraz do druku ten komentarz do niej, składam serdeczne podziękowanie paniom, które te konferencje spisały z nagrania: Sławomira Gromisz i Beata Kardasińska, nasze oblatki, oraz Barbara Pawłowska i Bożena Pławska.